№ 7 WARSZAWA, DNIA 15 LUTEGO 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Z takim łukiem małym, ale doskonale zrobionym, chadzał puszczą. Polował, tropił, łowił w sidła, zasadzał się. Stawał się czujny, drapieżny, zajadły, rączy, jak zwierz leśny, włożony do życia, gdzie o wszystkiem stanowi zwinność i wyborna sprawność każdego ruchu.

Potem nagle odchodziła go ochota do polowania. Chodził po lesie, jak obcy wszystkiemu. Podnosił nieraz łuk, nakładał pierzastą strzałę i odciągał cięciwę, mierząc do jakiegobądź ptaka,—i opuszczał nagle ręce, i szedł dalej, nie wiedząc gdzie zawlec złą martwotę, która go opadła.

Tymczasem miał lat czternaście i pewnego dnia Marcin to sobie przypomniał. Pomyślał, że dotychczasowe nauki, które Hieronim pobierał przez rok jeden u wędrownego bakałarza, nie wystarczały, aby mu zapewnić dobre przygotowanie do życia.

Niedługo rozbierał sprawę. Wspomniał zaraz wuja kanonika w Krakowie i posłał mu ubitą sarnę, dzika, drobniejszej zwierzyny niemało i list o Hieronimie.

Kan[illegible]nik odpowiedział wkrótce, że na święt[illegible]n będzie na jarmarku w Lublinie, [illegible] Marcin także tam być nie omieszka, będzie można pogadać i uradzić o sprawach familji.

Po jarmarku Marcin wrócił do domu

rad z rozmowy. Czekał jeno wieści z Krakowa. Tymczasem nadeszła wiosna i w końcu przybył posłaniec od kanonika z listem.

Wyczytał w nim Marcin, że kanonik sprawy nie zapomina, że weźmie Hieronima do swego domu, najmie preceptorów, by go nauczyli wszystkiego, czego potrafią, doprowadzi do święceń i zaopatrzy przez swych przyjaciół i swoje wpływy w dobrą jaką prebendę, intratne probostwo.

„A byłliby Hieronim umysłu bystrego, do nauki sposobny, a nie leniwy, obyczajów cnotliwych, tedy za boską pomocą i naszych przyjacieli staraniom a łaską, do najpierwszych w Rzeczypospolitej dostojeństw dojść powinien“.

Byłoby to nieźle, ale najważniejsze było to, żeby rzecz załatwić spiesznie, zanim co przeszkodzi. Marcin nie namyślał się ani chwili. Wieczorem dostał list, a na drugi dzień rano kazał wszystko gotować do drogi. Wytoczono wasąg, kowano konie, dziewki prały bieliznę Hieronimową, a stara Margola, rękawem coraz to ocierając oczy, przebierała w skrzyni z szatami.

Marcin zawołał Hieronima do izby.

— Pójdźno, Hieronimie! — powiedział. — Dość bąki zbijać! Słuchaj, coć rzękę, i zważaj sobie dobrze: jest nas trzech braci, a wieś jeno sama jedna i nienajwiększa. Andrzej wojuje, ja gospodarzę, jak mi Bóg pomaga, a ty co?

Hieronim się zasępił, bo już czuł coś niedobrego. Ale przezornie milczał, utkwiwszy oczy w ziemię.

— Trza ci, Hieronimie, opatrzenie jakie naleźć. Mówiliśmy w Lublinie, na święty Szymon, z wujem kanonikiem jegomością. Wielką robi łaskę i przyjacielską pomoc dawa domowi naszemu, że cię do siebie wziąć obiecuje, uczyć, do stanu świętego, kapłańskiego, przygotować, probostwem dobrem opatrzyć. Bacz-że, byś się sprawował godnie, a wstydu naszemu domowi nie przyniósł.

Hieronim słuchał, spuściwszy głowę. Drgnęły mu usta, jakby coś chciał odpowiedzieć, ale nie rzekł nic.

Marcin powiedział, aby dokończyć:

— Kazałem Sebastjanowi wasąg narządzić, a Margoli, aby szmaty ci nagotowała. Jutro ze świtem pojedziesz do Krakowa. Ciepło, droga dobra, da Bóg, dojedziecie szczęśliwie.

Potem milczał małą chwilę, a Hieronim wysunął się za drzwi.

Marcin poszedł w pole. Gdy wrócił na południe, a Hieronima nie było, choć to się nieraz przydarzało, dziś uderzyło go bardziej.

Zawołał Sebastjana, by go spytać, ale Sebastjan nie pytany rzekł:

— Hieronim mi powiedział tak, że do Krakowa nie pojedzie, i żeby obręczy na koła nie nabijać.

Marcin chwilę nic nie mówił, usłyszawszy tę nowinę. Potem zawołał:

— Na koń wszyscy i szukać mi Hieronima! Kto znajdzie, niech przywiedzie siłą mocą, jak się da!

Kto żyw skoczył szukać, a Marcin na czele.

Dość już miał tego chłopaka, który rósł jak ta dziczka w polu, co tylko kwaśne a gorzkie jabłka rodzi. Znał takich synów po szlacheckich domach, co później wyrósłszy, chodzą jak byki złe i ponure, niczego nieświadome, jeno grubych zabaw leśnych, ani to do wojennej służby, ani do urzędu; wstyd, gdy się ukażą gdziebądź między ludźmi.

Targał go też gniew, że taki chłystek, który tego nic nie rozumie, opiera mu się, śmie umykać i kryć się.

— No! Niech cię jeno znajdę! — mówił sobie zawzięcie.

Hieronim miał swoje skrytki w lesie,

których nikt nie znał. I gdy we dworze myśleli, że dopadłszy konia zemknie gdzieś daleko, on pobiegł w las i tam zobaczyli go żacy.

Sebastjan z drugim pachołkiem, Błażkiem, pognali na leśną drogę: znali Hieronima. Wnet przyłączył się do nich Marcin. Gdy nie mógł znaleźć śladów, posłał po psy do dworu i dlatego żacy żadnego nie widzieli.

Psy łatwo wpadły na trop. Choć się zbijały inne, ale jeden, czarny z białym kołnierzem, który lubił Hieronima, wytrwale prowadził, i za tym jechał Marcin z konnymi i pieszymi ludźmi.

Pies biegł długo lasem i wreszcie wyprowadził ich na zbocze, drzewa zwarte rozstąpiły się i ujrzeli tylko dąb olbrzymi wśród małej polany, samotny, wokół zamknięty stłoczonym lasem. Ale jakby rzutem olbrzymiej siły, by nie dać się zagłuszyć i zdusić, wybujał czołem ponad wszystkie drzewa dookoła.

Pień potwornie gruby dźwigał konary, po których możnaby chodzić jak po ścieżkach. Gałęzie, jak cały gaj dębowy, rosły z tych konarów i szumiały piętrami aż hen, ku niebu, zcicha a głęboko.

Pies się zakręcił, potem wspiął się na drzewo przedniemi łapami i szczeknął radośnie.

— Musi na dębie siedzieć, — rzekł Sebastjan domyślnie.

Puścili konie, i razem z pieszymi obchodzili dąb dokoła, wypatrując Hieronima w górze między gałęziami.

Ale nic.

— Leź na dąb! — rozkazał jednemu Marcin.

Wtedy nagle odezwał się głos niewiadomo skąd:

— Kto wlezie, tego zabiję!

Szedł jakby z pod ziemi.

— Hieronim! — zawołał Sebastjan.

— Gdzież on siedzi? Gdzie? — dziwili się ludzie.

— Leź na dąb! — rozkazał Marcin znowu.

— Nie leź, bo zabiję! — zawołał znowu Hieronim niewiadomo skąd.

Pachołek się wahał, ale Marcin krzyknął, zły:

— Nuże, czyś ogłuchł?

Pachołek rzucił czapkę na ziemię i wspiął się. Wylazł na pierwszy konar.

— Złaź! — krzyknął Hieronim, tym razem wyraźnie z góry.

— Zobacz, gdzie się skrył! — rozkazał Marcin z dołu.

Pachołek rozejrzał się niezdarnie, bo najmniejszej nie czuł ciekawości do ujzenia Hieronima.

— Nie widzisz? — zapytał Marcin z dołu.

— Nie.

— Leź wyżej!

I na innych zawołał, gdy tamten się wspinał:

— Leźcie i wy!

Ale w tej chwili ów na górze krzyknął, zatrzeszczały gałęzie, których się chwytał, posypały się liście na ziemię, i zlatując od konaru do konaru pachołek spadł na ziemię.

Wszyscy przyskoczyli.

(D. c. n.).

Śmierć księcia Józefa.

(SONET).



Książę Józef Poniatowski rzuca się w nurty Elstery.

Wierny pod nim arabczyk zrywa się
do skoku,
Burka szumi na wietrze, ni to orle pióra
I runął! Piany białej owiała go chmura
I krwawieje ułanka, jak gwiazda w obłoku.

Ryk armat! Dym! płomienie, złoto i purpura!
Drapieżna ręka śmierci, wysunięta z mroku
Koniu! Koniu rycerski! O płyń! Krok!
Pół kroku!
O, falo! Nie bądź katem! O, falo ponura!

Trzask! Imperium się wali! — Ludy! Epos kona
O, gwiazdo! Gwiazdo Polski i Napoleona!
Pękły niebios wierzeje i grom z nich uderzył.
A z ziemi, jak mgła, płynie i w lazurach stawa
Postać blada, śmiertelnie zadumana, krwawa!
I we łzach składa Bogu, co jej Bóg powierzył!

Or-Ot.

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

ROZDZIAŁ V.

W wielkim kanjonie Colorado.

Nazajutrz, wczesnym rankiem pięknego pogodnego dnia, rozbrzmiewał głos gospodarza w zagrodzie. Jego głośne rozkazy, tyczące się wypędzania bydła na pastwisko oraz innych gospodarskich czynności, obudziły również wcześnie obydwóch przyjaciół.

— Jeżeli panowie chcecie — rzekł gospodarz przy śniadaniu — skorzystamy z pięknej pogody i zrobimy wycieczkę do wielkiego kanjonu. Stąd mamy zaledwie godzinę konnej jazdy; na wszelki wypadek zabierzemy broń, może uda nam się coś upolować.

Obaj przyjaciele zgodzili się chętnie, tembardziej, że już oddawna pragnęli ujrzeć ten sławny wąwóz. Niedługo też potrwało, a trzej panowie siedzieli na koniach; towarzyszył im również konno Bob, prowadzący muła, naładowanego zapasami żywności.

Była to niezrównanie piękna przejażdżka.

Teraz dopiero zaczął Jan pojmować, dlaczego człowiek, który, sądząc zpozorów, wzrósł w dobrobycie, odrzucił jednak kulturę wielkiego miasta i wolał uciec do tej samotni, do tej dalekiej krainy cudów natury.

Znajdowali się mniej więcej na połowie drogi, kiedy skończyły się prerje, a zaczęło się kamieniste płaskowzgórze. Tutaj przykuło uwagę podróżnych niezwykłe zjawisko. Jakkolwiek nigdzie nie było widać ani śladu lasu, a nieurodzajny grunt zaledwie zdołał wyżywić skromne roślinki, tu i owdzie leżały olbrzymie pnie drzewa, wkoło znów mnóstwo małych pni; niektóre z nich błyszczały w słońcu, jak gdyby pociągnięte były jakąś świecącą masą.

Jan i Monsard zsiedli z koni, aby bliżej przyjrzeć się tym okazom. Jan przekonał się, że te olbrzymie pnie były nawskroś skamieniałe, a tak twarde i ciężkie, jak naturalna skała.

— Pan jest tem zdumiony? — zapytał Wilk.—Takich wspaniałych skamieniałości nie bardzo prędko będzie pan miał sposobność oglądać! Dotychczas spotyka się je tylko nad Kolorado, w niektórych miejscach stanu Arisona i w parku Yellowston.

— Jak się panu zdaje, ile wieków mogą mieć te okazy? — spytał Monsard. —

W jakim okresie czasu istniały te drzewa, jako żyjące?

— Wieki musiały się na to złożyć, mierzone ludzką miarą—odparł fermer.— Stwierdzono, że już przedhistoryczni mieszkańcy Ameryki używali chętnie skamieniałych drzew do budowy swych mieszkań. A więc już wtedy przed tysiącami lat istniały skamieniałe pnie. Prawdopodobnie, zanim jeszcze człowiek zamieszkał ten kraj, lub wogóle ziemię, znajdowały się one tutaj.

Bezwątpienia niezmierzone okresy czasu, być może, miljony lat upłynęło, od chwili, kiedy te kolosy leśne, które, jak skamieniałe trupy leżą przed nami, zdobił rok rocznie płaszcz zieleni. Należały one do rodzaju drzew, po dziś dzień żyjących — cedrów kaliforyjskich. Uczeni geolodzy twierdzą, że w owym czasie cała środkowa część Stanów Zjednoczonych, a więc począwszy od Skalistych gór, aż do Alleganów, przedstawiała morze.

Prawdopodobnie na brzegach tego wewnętrznego jeziora rosły drzewa, a kiedy już obumarły, zabrała ją fala i pogrążyła na dno, następnie komórki drzewa poczęły napełniać się krzemionką i dopiero później już, kiedy dno morskie zaczęło się podnosić, tworząc z czasem ląd stały, deszcz spłukał ze skamieniałych pni osadzone pokłady ziemi.

Jan i Monsard wzięli sobie na pamiętkę kilka kawałków drzew, zamienionych w przepyszny agat i pojechali dalej.

Inżynier dziwił się, że nic jeszcze nie wskazywało bezpośredniej blizkości wielkiego wąwozu. Mała grupa skał ukazała się przed jeźdźcami, lecz gdy opisali łuk w celu objechania przeszkody, nagle Jan zatrzymał konia, wydając okrzyk zdziwienia.

Zdziwienie jego było zupełnie uzasadnione, gdyż objechawszy grupę skał, znalazł się zupełnie nieoczekiwanie, zaledwie o kilka kroków od skraju przepaści, której głębia i obszar przechodziły najśmielsze przypuszczenia. Gdyby jechał galopem, nie byłby w stanie nawet konia zatrzymać i wraz z nim leżałby teraz na dnie olbrzymiego kanjonu, jako bezkształtna masa.

Jan zsiadł z konia, za jego przykładem poszli inni. Ani jeden wyraz zachwytu nie wyszedł z ich ust: czyż nie czczo i pusto brzmiałoby słowo wobec majestatu cudu natury!

Długo bardzo w milczeniu napawali się tym przepysznym widokiem. Wąwóz w tym miejscu zdawał się mieć cztery kilometry szerokości, w rzeczywistości jednak do przeciwległego brzegu było aż 24 kilometry. Na głębokości 2000 metów poniżej brzegu wiła się pomiędzy dzikiemi skałami rzeka Kolorado. Tutaj z góry wydawała się nieznaczną małą rzeczką, w rzeczywistości jednak była to duża bystra rzeka, która tylko w stosunku do olbrzymiego wąwozu wydawala się małą.

Wskutek tego złudzenia, niezliczone pojedyńcze góry, znajdujące się wewnątrz wąwozu, zdawały się znacznie mniejsze, niż były w istocie. W rzeczywistości każda z tych gór przeniesiona na równinę wydałaby się potężną, ponieważ miały one do 2000 metrów wysokości.

Długość kanjonu nie da się wogóle zmierzyć okiem, gdyż z obydwóch stron robi on zakręty. Gdyby nawet biegł w prostym kierunku, to również nawet najlepszemi instrumentami optycznemi nie możnaby objąć go wzrokiem na całej przestrzeni; ponieważ ma on 1200 kilometrów długości, co mniej więcej równa się odległości od Strassburga do Gdańska.

Większe jeszcze wrażenie, niż ogrom wąwozu, sprawiała czarująca gra kolorów kanjonu. Zdawało się, jak gdyby jakieś nadziemskie plemię olbrzymów wymalo-

wało ściany kanjony i wystające olbrzymie skały różnobarwnemi farbami.

Można było tutaj, jak w żadnem innem mym dole powstały w tym okresie, kiedy jeszcze żadne słońce swemi promieniami nie rozpraszało panujących ciemno-



Kanjon Kolorado z dołu.

miejscu, zajrzeć do warsztatu natury i według różnorodnego zabarwienia pokładów kamienia, rozpoznawać poszczególne stacje tworzenia się skorupy ziemskiej.

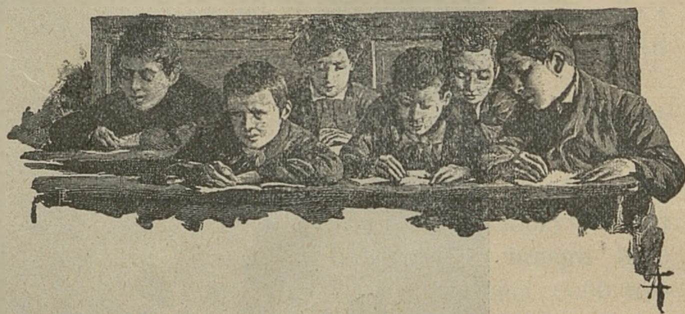
Czarniawo-purpurowe skały tam na saści, nim jeszcze księżyc i gwiazdy przyświecały ziemi.

Szkarłatne piaskowce, świecący granit, mieniące się wszystkiemi odcieniami barw, począwszy od blado-różowej aż do krzy-

cącej żółtej i delikatnej fijoletowej i wiele, wiele jeszcze innych rodzajów kamieni tworzyły przepyszną symfonję barw.

Przeszło najmniej pół godziny, zanim przerwali wreszcie milczenie.

(D. c. n.).



Marja Buyno

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

Michaś opamiętał się, zapanował nad ogarniającym go nanowo uczuciem rozpaczy i męki.

— Ah, to nic! Trochę się widać zmęczyłem. Ale już jem!

Pawłowa pokiwała głową i mruknęła coś niewyraźnie.

— A mama kiedy wróci?

— Niewiadomo! Jak dostanie to miejsce, to wróci dopiero późnym wieczorem, a jak nie, to zaraz niedługo!

Michaś odetchnął z ulgą! Pierwszy raz w życiu zdarzyło się, że pragnął odwlec chwilę, w której miał zobaczyć swą ukochaną Mateńkę.

Rozłożywszy na stolik książki i zeszyty, zabrał się do nauki tak gorliwie, że wkrótce zapomniał o wszystkich swoich troskach i nieszczęściach.

Dźwięk dzwonka oderwał go od pracy. To Matusia wraca!

Z gwałtownym biciem serca podbiegł do drzwi.

— Mój chłopcze drogi! Daruj, że dziś właśnie zostawiłam cię tak długo samego!

— O Mateńko!

Michaś pomagał matce zdjąć palto, a potem, objąwszy ją serdecznie, wszedł z nią razem do pokoju, gdzie już Pawłowa krzątała się przy nakryciu stołu.

— A co, nie mówiłam? Poszczęściło się? Jak się śnią ptaszęta, to już napewno coś dobrego będzie — interes jaki korzystny!

Ale spojrzawszy na swą panią, opuściła ręce przerażona.

— Co się stało? Jezu mój! Jaka pani bledziusia!

Michaś podniósł oczy i gdy spojrzał w twarz matki, krzyknął przestraszony:

— Matuś! Tyś chora!

— Nie, nie! Zmęczyłam się tylko, migrena! Ale to nic! Odpocznę, będzie mi lepiej! Opowiedz mi co o szkole!

Michaś drgnął; zdawało mu się, że serce bić przestaje, a w żyłach krew nagle zlodowaciała. Na szczęście Pawłowa przyszła mu z pomocą.

— Co to, to nie! Nie pozwolę na żadne opowiadanie. Trzeba się zaraz położyć do łóżka. Przygotuję pani herbaty z cy-

tryną. Na migrenę nic tak pani nie pomaga, jak spokój!

Pani Strzemboszowa nie oponowała. Jej wytworna postać i piękna twarz, nosiły ślady ogromnego znużenia i bólu, który Michaś kilka razy widział w oczach matki od czasu śmierci ojca, który zawsze napełniał go wielkim niepokojem i obawą o ukochaną nad wszystko istotę.

Z wielką serdecznością ucałował ręce mateczki.

— Tak mi przykro, że będziesz sam dziś wieczór. A może ci co pomóc? — starała się jeszcze przezwyciężyć pani Strzemboszowa.

— Nie, nic, mateńko! Połóż się! Ja też niedługo dziś będę siedział! Wszystko prawie odrobiłem!

Gdy w jakiś czas potem Michaś kładł się do łóżka, mówił sobie uspokajająco:

— Nie potrzebowałem kłamać.

A jednak dusza jego nie była spokojna, coś go gnębiło, czuł jakby ciężar jakiś na piersiach.

II.

— Będę siedział przy tobie! Poprosiłem o to nauczyciela! — mówił nazajutrz Witold, śledząc wrażenie, jakie jego słowa wywrą na Michasiu.

— Cieszę się z tego bardzo! — odparł szczerze Michaś, ściskając z wdzięcznością rękę uprzejmego kolegi, gdy wtem jakieś spojrzenie pociągnęło oczy jego w inną stronę. Spotkał się ze wzrokiem silnym, mądrym i dziwnie miłym: były to te same oczy, które go wczoraj tak uderzyły.

— Ach, to Zygmunt cię magnetyzuje! Zarozumialec! Wyobraź sobie, ten pyszałek przywłaszczył sobie prawo wydawania patentów na — koleżeństwo — mówił niechętnie Witold.

— Jakto?

— A tak! Ten tylko uchodzi w klasie za dobrego kolegę, komu na to wyda patent jaśnie wielmożny pan Zygmunt. A ten, według niego zasługuje na patent, kto mu się uniżeniej kłania...

Michaś nie rozumiał dokładnie słów Witolda; wyczuwał w nich jednak żal i niechęć i to go zabolało.

— Mnie się wydaje, że to musi być bardzo szlachetny chłopiec—szepnął.

— Nie znasz go przecież!

— Nie znam, ale widzisz, on ma takie oczy, które wyraźnie mówią!

— Eh, idealista jesteś! Z takiemi teorjami nie daleko zajedziesz w szkole. Z przyjaźni dla ciebie (a przecież dałem ci jej wczoraj dowód wyraźny) ostrzegam cię, unikaj go! Zresztą zbyteczne ostrzeżenie, bo on by nie chciał nawet z tobą rozmawiać: on wczoraj najbardziej gardłował przeciw tobie!

Michaś spuścił głowę, by ukryć wielki ból, jaki nim owładnął: tak, to zupełnie naturalne, że on, ten szlachetny i mądry chłopiec nie zechce mówić z nim, nieznanym nikomu a odrazu zdyskredytowanym wczorajszym postępkiem.

A gdyby tak pójść, wytłomaczyć się?

— Chciałbyć w pokorę uderzyć? — ciągnął Witold ironicznie, jakby odgadując myśl Michasia — ładniebyś się urządził! Wykpili by cię, wyśmieli i stracili by resztę szacunku. A tak wiedzą, że jesteś silny i boją się ciebie! O, to dużo znaczy!

Mówił to z wielkim przekonaniem a zarazem jakby z bólem i żalem, tak, że Michaś spojrzał na niego uważniej:

— Dokuczali ci kiedy?

Na mizerną twarzyczkę Witolda wystąpił słaby rumieniec.

— Chcieli, ale nie dałem się! Zresztą dajmy temu pokój. Gotów jesteś pomyśleć, że chcę cię zniechęcić do kolegów. Sprobuj sam!

Ale Michaś nie miał sposobności zrobić próby. Chłopcy nie zwracali na niego

najmniejszej uwagi, nie patrzyli na niego, jakby nie istniał dla nich, parę razy tylko poczuł na sobie badawcze, rozumne spojrzenie czarnych oczu, lecz i one zwracały się w inną stronę, gdy Michaś chciał w nie spojrzeć.

O ile inni koledzy nie pragnęli najwidoczniej zawierać z nim znajomości, o tyle Witold nie odstępował go ani na chwilę. A był to towarzysz bardzo miły, wesoły, dowcipny. Raziła Michasia w nim nieco jego chęć krytykowania wszystkich i wszystkiego, ale czuł dla niego taką wdzięczność, że dzięki niemu nie jest całkowicie osamotniony, iż na wszystko patrzył pobłażliwie.

Przez parę pierwszych dni zwykła znajomość między Witoldem i Michasiem przeszła w bardzo zażyły stosunek,—przyjaźń...

Nie, Michaś nie mógł nazwać tego przyjaźnią i na natarczywe pytania kolegi:

— Wszak jesteś moim przyjacielem?

Dawał odpowiedzi wymijające:

— Za mało się jeszcze znamy! Przyjaźń tak odrazu nie przychodzi!

A jednak dla tamtego o tych mądrych oczach uczuł zaraz od pierwszego spojrzenia coś takiego, co chyba przyjaźnią nazwać by można...

Stosunek do reszty kolegów nie zmienił się: zapadła jakby milcząca umowa unikania Michasia. Może czekano na pierwszy krok z jego strony, może spodziewano się jakiegoś wyjaśnienia?

— Hej! Mazgaj! Dobrą sobie fortecę znalazłeś? Myślisz, pewnie, że cię z niej nie ruszą, co? — zauważył raz ironicznie jeden z chłopców, przechodząc koło Michasia i Witolda.

— Głupiś!—burknął opryskliwie Witold.

— No, no! Nie stawiaj się tak, bo ci się przypomną dawne czasy! Nawet ci twoja forteca nie pomoże!

Witold ujął Michasia pod rękę, odciągając go na bok.

— Chodźmy, to znany zawadjaka! — rzekł pogardliwie.

— Zawadjaka! Ho! Ho! Jaki sędzia. A twój przyjaciel to kto taki? Cała szkoła niech powie, czym kiedy młodszego od siebie zaczepił, a on co? — wykrzyknął urażony Bolek Gołębiowski, znany rzeczywiście z zaczepnego usposobienia.

— Lepiej daj pokój, bo jak sobie będziesz za dużo pozwalał, nauczę cię rozumu!—krzyknął energicznie Witold, ale jego słowa zostały powitane burzą oklasków i śmiechem. Śmiał się i Bolek.

— Takeś shardział, gdy sobie wziąłeś za przyjaciela siłacza, co wstępniaków zwycięża, że aż mnie rozumu chcesz nauczyć! Dobrze, sprobujmy się, ale w uczciwej walce, jeden przeciw jednemu.

Lecz ta propozycja nie zbyt podobała się Witoldowi: cofnął się nieco za Michasia i spojrzał na niego tak dziwnie, że chłopiec nie wiedział, czy prośba była w tym wzroku, czy rozkaz.

— Wszak Witold jest znacznie słabszy od kolegi, nie trudno byłoby go pokonać! wystąpił nieśmiało Michaś, lecz zaraz w odpowiedzi na jego słowa podniósł się chór głosów.

— A tak! ze wstępniakami łatwiej wojować! A to sobie „Mazgaj” wziął obronę! Nie chce mu się pleców nastawić. Forteca!

— Grzmotnij że którego porządnie, to się zaraz uciszą! - szeptał Witold do ucha Michasiowi, lecz ten daleki był od wszelkich wojowniczych myśli.

Miał gwałtowną chęć krzyknąć głośno:

— Koledzy! zawiniłem wówczas! Sam nie wiedziałem, co robię! Darujcie mi! Przyjmijcie mnie do waszego grona! Przekonajcie się, że nie jestem taki zły, za jakiego mnie macie!

Lecz wstyd jakiś fałszywy głos mu zaparł w gardle, przytem Witold podszeptywał mu nieustannie:

— A co! Nie mówiłem. Widzisz, jak oni cię nienawidzą, jak oni tobą gardzą! A tyś chciał w pokorę uderzyć. Ha, ha!

Donośny głos dzwonka w samą porę przerwał tę niemiłą scenę i zapobiegł bójce, która zdawała się wisieć w powietrzu. Chłopcy rozchodzili się, rzucając w stronę Witolda i Michasia niezbyt pochlebne epitety, na co Witold dawał ostre i ironiczne odpowiedzi.

(D. c. n.)

ZAKLINACZE WĘŻÓW.

Do najdziwniejszych ludzi w Indjach należą zaklinacze wężów, i nie jest dotychczas wyjaśnione, czem się to dzieje, że wywierają oni na węże taki wpływ olbrzymi. Jedni z nich wyglądają, jak gdyby sami lękali się wężów, które pokazują, inni obchodzą się z niemi z zupełnem lekceważeniem. Niektórzy ostrożniejsi wyrywają wężom jadowite zęby, lecz inni, nie czyniąc tego, umieją z szaloną zręcznością i szybkością uchronić się od ukąszenia. Dość często zdarza się jednak, że zaklinacze umierają od ukąszeń własnych wężów.

Dawniej wierzono, że zaklinacz wężów wywabia je z ich kryjówek za pomocą usypiających dźwięków piszczałki i zmusza je do tańczenia przy dźwięku swej muzyki. W rzeczywistości cała ta manipulacja odbywa się znacznie prościej. Gdy wąż się rozdrażni i zaczyna kołysać się swą przednią częścią ciała, wówczas zaklinacz podsuwa mu jakiś twardy przedmiot, przeważnie cegłę. Wąż gryzie ją, lecz sam sobie tylko robi krzywdę. Po wielu tego rodzaju próbach zaprzestaje kąsać. Nie narając się na ukąszenie, może go zaklinacz głaskać ręką po głowie. Lecz zwierzę, wciąż jeszcze podrażnione, zatrzymuje swe położenie obronne i kołysze się górną częścią ciała. Wygląda to tak, jak gdyby tańczyło przy dźwiękach piszczałki.

Znajdują się jednakże i nieustraszeni zaklinacze wężów, którzy przy pomocy muzyki i ruchów rąk zdają się osiągać pewną władzę nad kobrą, jak gdyby ją wprowadzali w pewien rodzaj snu hypnotycznego. Taki zaklinacz siada na podwórzu, gdzie go otaczają w należytem oddaleniu ciekawi widzowie, kładzie okrągły, płaski kosz z okularnikiem na ziemi i otwiera pokrywę. Potem rozdrażnia węża, aż ten się podniesie i rozpostrze swój okularowy parasol. Lewą ręką gra bezustannie na flecie, a prawą wykonywa usypiające ruchy, aż wąż stopniowo się uspakaja. Wówczas przykłada sobie jego głowę do twarzy, a wargi jego dotykają czoła węża. Nagle błyskawicznym ruchem usuwa go, gdyż wąż ocknął się z odrętwienia. Najmniejsze naprężenie muskułów, nawet wyraz oczu kobry wystarcza, by za-

klinacz poznał, kiedy nadchodzi niebezpieczna chwila. Nawet na sekundę nie może spuszczać jej z oczu i wąż też bezustannie ma oczy wlepione w zaklinacza; jest to jak gdyby walka dwóch zapaśników, gdzie każdy błąd przeciwnika grozi drugiemu śmiercią, jeżeli nie odparuje za ogon, prawą zaś błyskawicznie przesuwa po ciele węża i trzyma go mocno między wielkim i wskazującym palcem, jak w szczypcach. Łatwo zrozumieć podstęp, polegający na tem, że lewą ręką pozbawia on węża stałego oporu, a prawą przesuwając po jego ciele, uniemożliwia mu



Zaklinacze wężów.

ciosu we właściwej chwili. Zręczny zaklinacz umie się obchodzić tak samo dobrze z wężem świeżo schwytanym, jak i z już oswojonym. Tego rodzaju gra naturalnie wymaga wielkiej odwagi i ciągłej przytomności umysłu.

Zręczność zaklinaczy jest również nadzwyczaj zdumiewająca przy chwytaniu wężów. Jednak jest to tylko sztuczka kuglarska, w której wszystko zależy jedynie od zręczności palców i szybkości. Łowca wężów chwyta zwierzę gołą lewą ręką szybkie podnoszenie się w górę. Zaklinacze wężów udają się zwykle na łowy we dwóch lub więcej. Jeden z nich niesie lekarstwo przeciw ukąszeniu węża. Pokąsany człowiek przewiązuje w górze ranę i wysysa z niej jad. Potem przykładają do rany mały czarny kamień, wielkości migdała; w kamień ten wsiąka krew, a z nią i trochę jadu. Przylepia się on do rany i odpada dopiero, gdy już spełnił swą funkcję.

O promieniach, które zagasły przedwcześnie.

Przed dwoma laty wyszła w Krakowie książka, zawierająca spuściznę literacką młodziutkiego poety, którego śmierć wyrządziła literaturze i narodowi, a w szczególności młodzieży polskiej niepowetowaną krzywdę. Utwory jego, zebrane i podane do druku przez dr. Józefa Ujejskiego, potwierdzą prawdziwość tych słów: „lecz nie chęć wywołania daremnych ubolewań"—jak powiada w swej przedmowie dr. U.—„była powodem wydania tej książki. Celem naszym było, młodzieży naszej ofiarować, zawarty w tych utworach wizerunek duchowy niezwykłego dziecka, ktore jest pod każdym względem godne być świecznikiem tej młodzieży przynajmniej, gdy śmierć nie dozwoliła mu świecić wyżej. Jakabądź jest wartość jego prób poetyckich, cokolwiek bądź można mówić o przyszłym rozwoju jego talentu i horyzontach, jakie miał objąć,—to pewna, że więcej jeszcze blasku roztaczały, droższym go czyniły dla tych, wśród których żył i działał — skarby jego pacholęcej jeszcze, a tak przecież już męskiej duszy. Dać młodzieży w jego wieku klucz do tych skarbów i możność czerpania z nich ku swej korzyści, zdawało mi się rzeczą pożyteczną i prawie—powinnością".

Same jednak wyjątki z jego poezji, pisanych, (jeśli odrzucimy pierwsze, dziecinne próby), w okresie trzechletnim, od 14 do 17 lat życia, zbyt małe dałyby nam wyobrażenie o całem bogactwie jego duszy i umysłu; lecz będziemy się posiłkować dzienniczkiem jego, który w ostatnich dwu latach swego życia prowadził, oraz listami do kolegów.

Janusz Bednarski umarł jako uczeń VII klasy gimnazjum w Krakowie, który był jego miastem rodzinnem; pamiątki przeszłości, otaczające go na każdym kroku, otoczenie domowe, które nadało jego bogatej duszy miłość kraju i rzeczy szlachetnych, oto pierwiastki, na tle których kształtował się charakter potężny, górny a nieskalany. Głęboka wiara, miłość kraju i sztuka — oto jego trzy ukochania, które pobudzały jego twórczość i dawały mu chwile najczystszego natchnienia.

Co jednak zdumiewa w tak młodym chłopcu, to, że prac swoich sam był surowym sędzią i chłodnym krytykiem: daleki od zarozumiałości „obiecujących" młodych talentów, dążył wciąż do udoskonalania siebie i drugich, co czynił usilnie, a z miłością wielką. Pisał raz do kolegi:

„Mam już taką naturę, że gdy czegokolwiek dobrego się nauczę, to tak długo nie mam spokoju, aż kogoś nie nauczę tego samego. Poprostu tłomaczy się to tem, że udoskonaliwszy się w jakimś kierunku czuję, jak byłbym nieszczęśliwy, powró-

ciwszy do stanu pierwotnej niedoskonałości i zdaje mi się, że wszyscy dotknięci tą wadą, to samo czują".

Ot, jak pojmował znaczenie codziennego zapisywania swych myśli:

„Robię wielką różnicę między pamiętnikiem a dziennikiem. Pamiętnik jest to anegdotyczne opowiedzenie minionych, więcej lub mniej prawdziwych wypadków z życia—i to jest rzecz godna starej panny. W dzienniku nie potrzeba żadnych zdarzeń zapisywać (choć i to dobre) tylko myśli, spostrzeżenia i uczucia. Nieraz masz chyba jakieś myśli większe—czujesz stan duszy wyższy, niecodzienny i często pewnie nie umiesz dać imienia swoim uczuciom. Szkoda chwil takich tracić, szkoda nienazwanych uczuć zapominać — a samo pisanie zmusza nas do jasnego wypowiedzenia, do sformułowania rzeczy, nad któremi w innym razie nie zastanowilibyśmy się i nie namyślili. Gdybyś się do tego przyzwyczaił, to w kwestjach duchowych odpowiedź „nie wiem", nie byłaby, jak dotychczas, twoją najczęstszą odpowiedzią. Ogromnie dużo rzeczy odkryłem w sobie od czasu, jak piszę dziennik—i tego zwyczaju nie myślę już nigdy porzucić. Dwa są tylko warunki, jeśli to ma być z korzyścią; pisać koniecznie codzień i nie pokazywać dzienniczka absolutnie nikomu; starać się o to, aby nikt nie mógł go złapać — gdyż, rachując na ludzkie czytanie, wielu rzeczy się nie domówi, wiele napisze się inaczej, niżby się pisało dla siebie, wielu rzeczy nie napisze się wcale".

Są to słowa nadzwyczaj prawdziwe, a zarazem wyjaśniające, w jakim celu dzienniczek ów prowadził: była to ciągła i wytrwała praca, mająca na celu poznawanie własnej duszy, a przez zdawanie sobie sprawy ze wszystkiego, co czuł i myślał—osiąganie coraz większej doskonałości w uczuciach i czynach.

Zobaczmy, jak charakteryzuje swoje uczucia i zmiany w nich zachodzące, w wierszu, napisanym jako zadanie z języka polskiego, na temat: „Wiosna a młodość" w V klasie gimnazjalnej.

MŁODOŚĆ.

Młodości moja, jasna i cicha!
Spłynęłaś drżąca,
Z marzeń kielicha,
Jak blask miesiąca,
Cicha i senna,
Jasna, tęcząca,
Od tęcz różana,
Święta, promienna
Od róż szkarłatów,
Wielka, w cichości
Wykołysana
Wśród tęcz i kwiatów...
Taka mi byłaś, młodości!

Młodości moja! Dziś jesteś inna!
Nie taka jasna, nie tak niewinna,
Nie taka cicha - lecz większa!
Dawniej sny miałem jasne, tęczane,
A dziś mi piorun śnienia upiększa -
Dawniej perłowe i rozpłakane
Stały się dzisiaj nie takie ładne,
Ale huczące i gromowładne!

A spójrz na kwiecie wiosną na łące:
Bielą się srebrzy cały łan cichy
I srebrną tęczą stoją kielichy
Jak uwieszone w trawach miesiące
Ukołysane na zieloności,
Jasne srebrzystym blaskiem tęczowe —
Takaś mi była, młodości!

A potem żółte świecą upały
I kwiaty zwiędły i pożółkniały,
A jasne łany kłos okrył złoty,
A na niebieskiej szafirów głębi
Słychać już grzmoty...
Chmura się kłębi,

Zwisa nad nami
I przestrzelona
Błyskawicami
Z ciemnego łona
Rzuca pioruny;
I piorun złoty
Staje się ptakiem,
Rozpala łuny,
Na chmur opony
Leci zygzakiem,
Groźny — czerwony,
Rudy, złowieszczy,
Pali się, trzeszczy,
Grzmi i urasta
I świat oniemia!
Grozą purpury
Zapala miasta;
Walą się mury,
Trzęsie się ziemia,
W grobach drżą kości...
Taka mi jesteś, młodości!

(D. c. n.)

Budowa domu w przeciągu 12 godzín.

Miasto Saint - Joseph - City stanu Missuri w Ameryce północnej było w tych dniach widownią niespotykanego dotychczas eksperymentu budowlanego.

Przed kilku dniami przyjechało do Saint-Joseph-City młode małżeństwo i zaraz udało się na poszukiwanie domu, a raczej willi, która składałaby się z czterech pokojów zwykłych, jednej dużej sali do przyjęć i werandy, wychodzącej na ogród; mieszkanie to miało mieć również wszystkie nowoczesne wygody. Willi takiej nie mogli jednak znaleźć.

Dowiedział się o tem pewien przedsiębiorca budowlany i oświadczył młodej parze, że obowiązuje się w przeciągu dwunastu godzin od chwilli podpisania umowy wybudować willę i oddać ją do rozporządzenia. Propozycja została przyjęta i umowa podpisana.

A teraz wyobrazić sobie trzeba zaciekawienie mieszkańców Saint-Joseph City, którzy byli świadkami tej w szalonem tempie prowadzonej budowy. O oznaczonej godzinie zajechały wozy z materjałami budowlanemi, całe warsztaty rzemieślnicze i robotnicy. Przedsiębiorca budowlany zwrócił się do robotników ze słowami, że w rękach ich spoczywa honor Stanów Zjednoczonych, spodziewa sie więc, że nie zawiodą pokładanych w nich nadziei i że za 12 godzin dom będzie gotów.

Przystąpiono do roboty. Murarze byli tak rozstawieni, że pracowali dwoma rzędami, a w trakcie tego zakładano już rury wodociągowe i gazowe. Na boku cieśle i stolarze przygotowywali drzwi, okna, podłogi i strop. Po kilku godzinach mury były gotowe.

Przystąpiono do roboty dachu i wewnętrznych wykończeń. Przedsiębiorca, przyglądając się wznoszeniu domu jak na drożdżach, spoglądał ciągle na zegarek i zacierał z zadowolenia ręce.

Na kilkanaście minut przed upływem dwunastu umówionych godzin, przedsiębiorca był u młodego małżeństwa, a za chwilę oglądano już wspólnie zupełnie, wykończony dom.

Drobiazgi.

Cuda techniki.

+ Inżynier amerykański, Emil Rachelet, z Nowego Jorku, pracuje nad wynalezieniem kolejki wiszącej, poruszającej się z szybkością 500 kilometrów na godzinę. Próby, wykonane przez wynalazcę na małą skalę, udały się pomyślnie.

+ W Ameryce, przy zaprowadzeniu automatycznych połączeń telefonicznych, zastosowano jednocześnie i fonograf, który informuje abonamentów o godzinie, oraz o stanie pogody, uszkodzenia linji i t. d.

KRONICZKA.

△ W Wiedniu zmarł arcybiskup wiedeński, ks. kardynał Nagl.

△ Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wypuściły nowe marki pocztowe z wyobrażeniem aeroplanu.

△ Na placu boju na Bałkanach, na nowo zawrzała walka. Do Adrjanopola i do Skutari przypuszczono cały szereg nader energicznych szturmów, tak że zarówno Bułgarzy, jak i Czarnogórcy pewni są zdobycia tych fortec w przeciągu kilku dni.

△ Armja bułgarska wszystkie wysiłki swoje skierowała na przełamanie linji wojsk tureckich pod Czatałdżą, oraz na półwyspie Gallipoli.

△ Słynny fizyk angielski, prof. Ramsay, dokonał nader doniosłego wynalazku nad przemianą pierwiastków, naprzykład miedzi w litjum.

△ Zabawne zajście miało miejsce w Strasburgu, mieście w Alzacji, należącem do Niemiec. Oto władze miejscowe pewnego poranku otrzymały depeszę, zawiadamiającą, iż o godz. 12-ej w południe przybędzie samochodem cesarz Wilhelm i dokona przeglądu załogi miejscowej. Zawrzało w całem mieście. Wojska na gwałt ubierały się w mundury galowe i pędem biegły na plac broni. Pośpiesznie strojono i dekorowano gmachy miejskie, tak że wreszcie na 12-ą godzinę wszystko było gotowe. Cała załoga ustawiona w paradzie na placu, władze z synem cesarskim i namiestnikiem na czele zgromadzone, a w górze, w przestworzach bujał Zeppelin. Oczekują wszyscy z naprężeniem. Mija godzina, druga, trzecia — cesarza nie widać. Wreszcie ktoś telefonuje do Berlina i okazuje się, cesarz jest w drugiej stronie Niemiec, w Królewcu. Radzi nie radzi, z nosem na kwintę, wrócili wszyscy do koszar i domów. Jak się okazało był to żart pewnego podoficera, który wydalony z posady, jako niepoczytalny, w ten sposób chciał dowieść władzom, że ma rozum w porządku.

△ Parlament niemiecki większością znaczną głosów, przyjął wniosek Polaków, co do wyrażenia braku zaufania kanclerzowi z powodu wywłaszczenia w Poznańskiem. Prawie cały parlament dowiódł swej uczciwości, potępiając czyn łupieżczy Prusaków.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.**

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3